

ADAM HILKIEWICZ



www.aleprezent.com.pl

1

WOJNY PRYWATNE

ADAM HILKIEWICZ

WOJNY PRYWATNE

TOM I

© Copyright by Adam Hilkiewicz

Tytuł: WOJNY PRYWATNE TOM I

Autor: Adam Hilkiewicz

Redakcja oraz korekta: Grażyna Juszyńska

Pomysł okładki Autora. Na okładce replika miecza Excalibur króla Artura wykonana przez płatnerzy hiszpańskich. Zdjęcie dzięki uprzejmości firmy ALEPREZENT (www.aleprezent.com.pl) dystrybutora na cały kraj replik broni wszelkiego rodzaju używanej od czasów rzymskich.

ISBN: 978-83-936279-0-5

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części publikacji zabronione bez pisemnej zgody Wydawcy oraz własciciela praw autorskich.

Warszawa 2024

Spis treści

CZĘŚĆ PIERWSZA WOJNA WAGNERA

FLORIAN

SPOSÓB NA DŻOKEJA

SMOCZYCA ANTE PORTAS

KTOŚ SIĘ POMYLIŁ

SZCZERE ROZMOWY

DWIE SIOSTRY

ZAPROSZENIE

FIRMA PROPONUJE

IMIĘ WROGA

WBREW PRZYRZECZENIU

DWOJE NA ZAKRĘCIE

PROFESOR TYRAN

JAZDA RZEMIENNYM DYSZLEM

I KTO TU KOGO TROPIŁ?

PANNA KLARA BEZ WOALKI

MILIONY W SZAFIE

SPRAWA OSOBISTA

ZDRADA

JAK AGENT Z AGENTKĄ

WAGNER WPADA NA TROP

NIEOCZEKIWANE SKUTKI NUDY

PUNKT OBSERWACYJNY
INTERESY TOMASZA SZULCA
KULTURZE DZISIAJ DZIĘKUJEMY
METODA S.O.S.
NOWE PERSPEKTYWY
POGORZELISKO
AZYL

CZĘŚĆ DRUGA WOJNA CHREPTOWICZA

W ZAWIESZENIU
GDZIE DIABEŁ MÓWI DOBRANOC
MACANIE BLIŹNIEGO OŻOGIEM
ŚNIADANIE U DYGNITARZA
ZAMEK W LESIE
BENEDYKT KRAUSS
TEMPLARIUSZE I INNI
SIOSTRY NA PIERWSZYM PLANIE
NAJWAŻNIEJSZY NA LIŚCIE
TRANSAKCJA
BEZSENNĄ NOC
KILKA STRZAŁÓW
POWRÓT DO ŹRÓDEŁ
NIKT NIE MOŻE O TYM WIEDZIEĆ
FLORIAN ODMIENIONY
BUDOWANIE IMPERIUM
WYKOPALISKA
POSZUKIWANY TADEUSZ ULBINIEWICZ
POLICJA DOSTAJE ZLECENIE
DAMA Z KLUCZAMI

ZASTAWIANIE PUŁAPKI

DAWNE WSPOMNIENIA, NOWI WROGOWIE

JESZCZE JEDNO ZDJĘCIE

WIZYTA W KLINICE

CIOŚ ZA CIOSEM

PIORUNY ZEUSA

DIAMONDS ARE FOREVER

Nasz wielki plan działania będzie skrywany niczym święta tajemnica do momentu, kiedy to żaden rozum, żaden spryt, siła i najgorętsza chęć nie zapobiegą nieuchronnemu.

Albowiem przedstawimy się światu jako obrońca, a więc dobroczyńca ludzkości. Wówczas ona cała, niczym stado baranów prowadzone na ubój, będzie musiała podlec naszej nieugiętej woli.

BENEDYKT KRAUSS

Teraz mogli udać się na poszukiwanie właściciela tej nieziemskiej budowli. Od Knuta dowiedzieli się, że Benedykt Krauss mówi po polsku i nie jest wcale Niemcem, Szwajcarem czy też Austriakiem, jak przypuszczał Chreptowicz.

Pierwszymi napotkanymi schodami weszli do obszernego hallu. Całe wnętrze było urządzone z gustem w starym, dziewiętnastowiecznym stylu. Wszystkie tu ściany pokrywały ciemne boazerie i mnóstwo obrazów, a cały hall oświetlały żyrandole o dziesiątkach żarówek. Story, grube niemal jak dywany, zasłaniały okna. Wszystko to razem sprawiało, że cofnęli się nagle o dwa wieki.

Chreptowicz poszedł szybko dalej, jak gdyby się bał, że gospodarz mu się stąd wymknie. Podczas jazdy nie wspomniął ani słowem, dlaczego zdecydował się na spotkanie z nim. Uważał dotąd, że jest to niemożliwe, ale teraz dostrzegł widocznie szansę, jaką dawał spolegliwy Knut i limuzyna Vincenta Tordoir.

Dopiero gdy pokonywali kolejne schody, Chreptowicz przekazał Wagnerowi ostatnie wskazówki. Mają tym razem odgrywać rolę niezwyklejszych bandytów, mogą więc mówić

przy panu Kraussie co tylko ślina na język przyniesie, aby było to możliwie jak najbardziej prostackie.

Wagner zdziwił się, tym bardziej, że przygotował się raczej na coś odwrotnego. Szykował się na to, że będą mieli do czynienia z przedstawicielem międzynarodowej elity, ale tym razem już nie tej tak sztucznej, jaką reprezentował Vincent Tordoir.

Natknęli się na Benedykta Kraussa niemal od razu, już w pierwszym korytarzu na piętrze. Zamykał akurat kunsztownie rzeźbione drzwi z czarnego orzecha. W przeciwieństwie do Vincenta Tordoir'a nie zaklął pod nosem, za to przekrzywił głowę, jakby czegoś nie dosłyszał lub nie dowierzał temu, co właśnie zobaczył.

Był starszym mężczyzną dość niskiego wzrostu, ubranym w tej chwili w swobodny, domowy strój. Sylwetkę miał mocno zaokrągloną, podobnie jak oblicze. To, co miał na sobie było prawdopodobnie bonżurką.

Już sama jego reakcja, a właściwie jej brak, świadczył jednak o tym, że potrafił trzymać nerwy wodzy i że w zyczliwość wobec ludzi nie jest zanadto wyposażony. Mało kto okazałby taką obojętność, widząc we własnym domu dwóch niezaproszonych gości w kominiarkach i wycelowany w siebie pistolet.

– Panowie do kogo, jeśli można wiedzieć? – zapytał uprzejmie, niczym prawidłowo ułożony odzwierciedlenie. – Może mógłbym w czymś pomóc?

Jego polszczyzna była prawie doskonała. Miała tylko drobne naleciałości, rzadko spotykane połączenia angielskiego i francuskiego, właściwe temu, kto od dziecka uczył się języka polskiego, a potem sporą część życia spędził poza granicami rodzinnego kraju.

Kiedy bez pośpiechu podeszli do niego bliżej, Wagner dostrzegł w jego bładoniebieskich oczach spokój, graniczący z chłodem. On naprawdę się nie przestraszył.

– Musi pan pomóc, a nie może – odrzekł Chreptowicz odpychająco. – Marsz na razie z powrotem, baryłko tłuszczu. Wchodź do środka. Nie będziemy gadać na stojąco. Musisz mieć tam jakieś krzeselka.

Tak ordynarnego Chreptowicza Wagner jeszcze nie słyszał. Benedykt Krauss nie ruszył się.

– No, otwieraj te drzwi – Chreptowicz podniósł głos. – Mam je otworzyć twoją łepetyną? Może chcesz, żebyśmy ciebie wtoczyli jak beczkę? Raz dwa, przebieraj kończynami.

Była to chyba jakaś odmiana metody S.O.S., tylko zdecydowanie bardziej prymitywna.

– Nie życzę sobie tykania mnie – powiedział Benedykt Krauss. – Tak trudno mówić pan?

– Wyobraź sobie, że nie przechodzi mi to przez gardło.

Benedykt Krauss otworzył drzwi i wskazał im drogę ręką. Chreptowicz nie dał się na to nabrać i wykonał taki sam gest, z tym, że jego ręka trzymała pistolet. Na taki argument Benedykt Krauss nie znalazł odpowiedzi i wszedł pierwszy.

W drzwiach od strony korytarza tkwił klucz. Gdyby weszli pierwsi, to zostaliby natychmiast zamknięci.

– Popatrz, jaki z niego cwaniak – zaśmiał się Chreptowicz.
– Jeszcze jeden taki numer, grubasie, a przywiążemy ci ręce do nóg z tyłu, położymy na brzuchu i wprowadzimy w ruch. Robiłeś kiedyś taką kołyskę? Wątpię.

Gabinet ten urządzony był tak, jak reszta domu. Ciemna boazeria sięgała do wysokości przeciętnego człowieka, zaś ściany i sufit pomalowane były na zgniłozielony kolor. Część jednej ze ścian zajmowała mała biblioteczka.

Wielkie, piękne, czarno-purpurowe biurko oświetlała wysoka lampa z metalowym, siatkowym abażurem. Jego oczka wypełniały różnokolorowe szkiełka, wielkości zarówno groszku, jak też sporo większe. Na biurku leżał stosik arkuszy papieru w linię, a obok niego wieczne pióro. Oprócz komórki,

żadnych komputerów, laptopów i innych współczesnych wynalazków tutaj nie było.

Przed biurkiem stały dwa krzesła o wygiętych nogach, rozszerzających się ku górze oparciach i grubych, nieco wytartych siedzeniach.

Siadając po jego drugiej stronie, Benedykt Krauss wskazał im krzesła krótkim gestem.

– Sądzę, że wiecie, jak się nazywam. Chciałbym się dowiedzieć zatem, z kim mam przyjemność.

– Ho, ho, słyszałeś? – spytał Chreptowicz, odwracając głowę w stronę Wagnera. – No proszę, ten pan ma z nami przyjemność. Ja nazywam się Romek Żelazny, a to Bolek Stalowy. Dobre, co?

– Witam panów w swoich progach – Benedyktowi Kraussowi nie zadrgała nawet powieka. – Aha, nie spotkaliście gdzieś po drodze mojego sekretarza?

– A i owszem. Otworzył nam drzwi. Razem z Knutem siedzą pod kluczem w pakamerze na dole.

– Rozumiem... przejdźmy zatem do rzeczy. Czym ja osobiście mogę panom służyć?

– O, to jest właściwe podejście do sprawy. Najpierw niech pan obejrzy to zdjęcie. Niech pan dobrze mu się przyjrzy.

Chreptowicz pokazał najpierw zdjęcie Wagnerowi. Musiał zrobić je przed opuszczeniem pokoju, w którym zostawili związanego Vincenta Tordoira.

– Poznaje pan chyba, kto to jest? – spytał. – Przedtem został trochę poturbowany. Nie chciał otworzyć nam sejfu na naszą grzeczną prośbę.

Na Benedykcie Kraussie zdjęcie nie wywarło większego wrażenia. Lepsze byłoby pewnie takie z odciętą głową Vincenta Tordoira, o czym napomknął niedawno Wagner, ale i to nie było takie oczywiste.

– I co mam z tym zrobić? – spytał spokojnie.

– Przyjrzyć się przerażeniu na tej twarzy.

– Przyjrzałem się. Ja też mam się przerazić?

– No przecież nie ucieszyć – Chreptowicz znowu zaśmiał się ordynarnie. – Zna pan kogoś, kogo by takie zdjęcie swojego podwładnego ucieszyło?

– Zabraliśmy dzisiaj temu tu Tordoirowi cały szmal z jego sejfu – wtrącił Wagner. – Niepotrzebnie się stawiał. I wmawiał nam cały czas, że wcale się nas nie boi. Niewiele brakowało, a byśmy mu uwierzyli.

Benedykt Krauss, wpatrzony teraz w blat swojego wspaniałego biurka, myślał zapewne intensywnie, kim mogli być ci, którzy tak bezczelnie wdarli się do jego warowni i

obchodzili z nim jak przykładowo z kasjerem w obrabianym sklepie.

– Jak panowie na niego trafili? – spytał w końcu. – Jeżeli ze mną chcecie obejść się tak samo, to chyba mam prawo to wiedzieć.

– Usłyszeliśmy raz rozmowę w kawiarni – mówił znowu Chreptowicz. – Ten tu ze zdjęcia rzucał setkami tysięcy jak by były to grosze. To nasze zajęcie, wyszukiwać bogatych ludzi. Pojechaliśmy za nim i okazało się, że miał co nieco w sejfie. A w Piasecznie podebraliśmy wcześniej trochę gotówki Szulcowi. Teraz liczymy na pana. Ten ze zdjęcia powiedział, że stoi pan wyżej od niego. Wyżej to dla nas znaczy bogaciej. Przekonajmy się, ile pan ma w swoim.

– Muszę więc panów rozczarować – odparł Benedykt Krauss. – Sejf oczywiście mam. Ale nie trzymam w nim gotówki.

– To się okaże – podchwycił Wagner. – Zajrzyjmy do niego, szkoda czasu. Chyba, że chciałby pan mieć takie samo zdjęcie. A może jeszcze ciekawsze?

– Jak już wpadniemy na dobry trop, to nie ma zmiłuj, nie ma przebaczyć – dodał Chreptowicz, ciągle po prostaku, na co Wagnera nie było stać. – No, otwieraj pan ten sejf.

Benedykt Krauss podniósł się ociężale. Z tyłu jednego z obrazów ukazał się drzwiczki niewielkiego sejfu.

Podeszli bliżej i zobaczyli, że rzeczywiście niewiele w nim było. Kilka paszportów i jakiś luźno leżący stos papierów.

– Żarty pan sobie z nas robi? – krzyknął Chreptowicz. – Co to ma znaczyć, co? Gdzie są pieniądze?

– Powiedziałem, że nie trzymam w swoim sejfie pieniędzy. Trzymam je w banku. Jak każdy normalny człowiek.

– Trzeba przejrzeć te papiery. Zobacz, co w nich jest.

Wagner przeniósł całą stertę na biurko i zaczął je pobieżnie przerzucać. Dokumenty były napisane w języku angielskim, francuskim i niemieckim. Jak się szybko zorientował, były to różnojęzyczne kopie tego samego tekstu. Tytułami rozdziałów były nazwy państw europejskich.

Nie chciał zbyt długo się temu przyglądać, żeby Benedykt Krauss nie nabrał podejrzeń, że zna jakiś obcy język. Lekturą czegoś takiego włamywacze ich pokroju nie powinni się zajmować. Wyglądało to na jakieś plany, a poruszano przeważnie sprawy finansowe.

– Nic tu dla nas nie ma. Pokażmy to szefowi. Bo dla mnie to tyle można się z tego dowiedzieć, co z rachunków za gaz.

– Daj no mi je – Chreptowicz przejrzał papiery równie szybko. – E tam, na cholerę szefowi coś takiego. Co tu mamy,

Hungary? Słowacja? To jakiś podróżnik czy co? Zobaczmy więc te paszporty... zaraz, chwileczkę, co tutaj jest? Ta okrągła baryłka tłuszczu nazywa się Krauss. Tu jest Tadeusz Ulbiniewicz. A tu Wilhelm von Tarsky i... no tak, Benedykt Krauss też jest... no no, z pana jest niezły spryciarz. Kogo stać, żeby tak mieszkać? Na takie meble? Takie żyrandole, takie obrazy?

Chreptowicz na pewno też zauważył, co zawierają te dokumenty, ale postanowił je zostawić. Za to nieznany im dotąd Ulbiniewicz, do którego przed śmiercią pisał list Bartosz Adamski, siedział przed nimi.

– Nie trzymasz pan przypadkiem, panie okrągły, trochę gotówki w gaciach albo pod poduszką, co? Nie? To zajmimy się tym następnym razem... aha, chciałby pan wiedzieć, kim jesteśmy, co?

– Cóż, doceniam panów odwagę. A ja zawsze dzieliłem ludzi na drapieżników i roślinożerców. Widzę, że panowie należą do tych pierwszych. Mimo, jakby to rzec, prostoty działania. Co do szukania was, to jeszcze się zastanowię. Może moje wysiłki nie będą warte zachodu.

– Nie radzę nas szukać, ostrzegam. Chcemy, żeby przekonał pan tego ze zdjęcia, żeby dał sobie z nami spokój. Każ pan mu siedzieć spokojnie w fotelu. Mamy taśmy z jego rozmów

z Szulcem i z Panfilem, zna pan te nazwiska. I pan w tym siedzi, pada tam też pana nazwisko. A ta taśma, jedna czy druga, może raz dwa gdzieś wypłynąć.

– Słucham dalej – Benedykt Krauss nadal udawał, że go to nie dotyczy.

– Dobrze pan robi. Jeśli nasz szef zorientuje się, że ktoś nas szuka, taśmy wypłyną. A jeżeli coś nam się stanie, pana czeka grób. Rozumiemy się? Bo nasz szef bardzo nas lubi. I karać swych wrogów bardzo lubi. A najbardziej lubi karać tych, których krzywdzą tych, których lubi. Jesteśmy dla niego bardzo dużo warci. Rozumiemy się? Będzie wiedział, że to pan za tym stoi. Wyniesie stąd wszystko, co mu się spodoba, zamknie pana w pakamerze na dole i rzuci na ten budynek małą bombę. I będzie po krzyku.

Benedykt Krauss skinął lekko głową.

– To wszystko?

– Wszystko.

– Jeszcze jedna rzecz – odezwał się Wagner, któremu chodziło to po głowie od paru minut. – Tam w tej kawiarni Tordoir powiedział coś o Adamskim. Tordoir mówił o nim jak o waszym przyjacielu. Nasz szef wie, że Adamski był wtedy umówiony z dziennikarzem. Nazywał się Wagner albo Weber, nie pamiętam. Szef chce z nim porozmawiać, a ten dziennikarz

gdzieś przepadł. Nie możemy go nigdzie znaleźć. Pan się nim pewnie zajął, co?

Benedykt Krauss zmarszczył lekko brwi.

– Ten Wagner wypisywał zdaje się jakieś bzdury w swojej gazecie – wycedził przez zęby. – Może pójść za to do więzienia. I dobrze. To sprawa dla prokuratury. My nie zajmujemy się dziennikarzami.

Jeżeli kłamał, to dobrze kłamał. Wagner nie chciał nalegać, żeby nie wydało mu się to podejrzone.

– Nasz szef byłby gotowy pogadać o tym Wagnerze – kontynuował mimo to wątek Chreptowicz. – Może pan na tym nieźle zarobić. Szef dobrze płaci za informacje, których potrzebuje. Ten Wagner za dużo węszy, a szef tego nie lubi.

– O tym nie musimy dyskutować, panowie. Nie mam pojęcia, gdzie on może być.

Chreptowicz po chwili milczenia poprosił Wagnera, żeby zrobił twarzy Benedykta Kraussa kilka zdjęć.

Jego reakcja na te słowa była jak na niego niezwykła. Poderwał się z fotela, a jego twarz zdradzała wszystko. Zaciśnął szczęki i krew uderzyła mu aż na czoło. Wpatrywał się w Chreptowicza, jakby samym tylko wzrokiem chciał go zamordować.

– O żesz ty – parsknął Chreptowicz. – A co pan nagle taki przejęty? Nie chce się fizjonomii pokazywać? Oj, trafiliśmy chyba na bardzo grubą rybę. Tak się bać się zdjęcia? No, szef nas ozłoci... zrób pan normalną minę, nie denerwuj mnie...

Rozsądek Benedykta Krausa wziął po chwili górę. Opanował się powoli, ale widać było, że przyszło mu z trudem.

– ... dobrze, wystarczą te cztery. I to, panie gruba ryba, byłoby tyle na dzisiaj. Niech pan sobie dobrze zapamięta, co się stanie, jeśli zacznie nas pan szukać. Zapomniał pan? Niech pan się śmiało przyzna, powiem to jeszcze raz.

– Pamiętam – wyszeptał tylko Benedykt Krauss.

– To idziemy teraz na dół.

Benedykt Krauss, po krótkim wahaniu, ruszył do drzwi. Plik dokumentów Chreptowicz ostentacyjnie zlekceważył, co nie mogło ujść uwadze Benedykta Kraussa.

Romeo otworzył pomieszczenie, w którym zamknęli Knuta i sekretarza.

– Możesz wyjść, Knut – polecił Chreptowicz. – A pan, panie bardzo gruba ryba, posiedzi tu za niego.

Knut wyszedł z zadowoloną miną. Chciał chyba coś powiedzieć, ale zrezygnował z tego. Pewnie przypomniał sobie w porę, że to on pozwolił im tutaj wjechać.

– Szybciutko, wchodzi pan.

Romeo popchnął lekko Benedykta Kraussa, bo ten, urażony po raz kolejny w swojej godności, nieco się opierał. Wszedł od razu za nim i stanął blisko sekretarza, któremu drwiący uśmieszek znowu nie schodził z twarzy.

– Nastąp się – powiedział do niego niespodziewanie Romeo z groźbą w głosie.

Sekretarz nie zrozumiał tego polecenia. Podobnie zresztą jak Wagner, który chętnie by się dowiedział, co to znaczy.

Za swoją niewiedzę wezwany do odpowiedzi sekretarz otrzymał szybko karę. Romeo strzelił go w szczękę, chyba jeszcze mocniej niż przedtem Vincenta Tordoir. Szyderczy wyraz twarzy sekretarza z niej zniknął.

– Powinien się nastąpić, nieprawdaż? – usprawiedliwiał się Romeo. – Nie chciał mnie posłuchać, a ja tego nie lubię.

Sekretarz zachwiał się i upadłby chyba na betonową podłogę twarzą, gdyby go Romeo nie podtrzymał. Ułożył go na niej ostrożnie.

– Przepraszam, pozwoliłem sobie na to, szefie, ale mu się to należało. Raz po raz słyszałem przez te drzwi, jak mówił na nas różne brzydkie wyrazy. W ogóle od początku nie podobał mi się ten fircyk. Wydawało mu się pewnie, że jest lepszy ode mnie.

– Nie szkodzi – odparł wyrozumiale Chreptowicz, podobnie jak dwie godziny wcześniej. – To możesz ich zamknąć... Knut przyjedzie potem z powrotem, słyszy pan? Najpierw uwolni tego ze zdjęcia. A pan, jak mówię, jeszcze nam się przyda. Bardzo gruba ryba. To jest coś, co nasz szef lubi na obiad najbardziej.

Kiedy wyszli z zamku, Wagner nie wytrzymał.

– Powiedz mi, Romeo, co to znaczy nastąpi się?

– Karol, ty, dziennikarz, mnie pytasz, co to znaczy? Kto ma to wiedzieć, jak nie ty? Mnie podoba się to dlatego, że nikt nie wie, co to znaczy...

Chreptowicz powiedział, że dawno temu wzywano tak kogoś do posunięcia się, zrobienia miejsca. Zaś pierwotnie mówiono tak do krowy przed przystąpieniem do dojenia i poklepywano, żeby ją uspokoić.

– Potraktowałeś więc tego pana jakby był krową – dodał. – To było gorsze niż ten cios.

– On też na pewno tego nie wiedział, szefie – odciął się Romeo.

TEMPLARIUSZE I INNI

Po przeliczeniu zawartości sejfu po aktualnych kursach okazało się, że łącznie z tym, co przejęli w Piasecznie, skarbczyk pana Benedykta Kraussa *vel* Tadeusza Ulbiniewicza zmniejszył się dokładnie o cztery miliony, pięćdziesiąt osiem tysięcy złotych.

Chreptowicz porozkładał równo pliki banknotów na stoliku i poprosił, żeby Wagner dobrze się tej zdobyczy przyjrzał. Żeby się dobrze przyjrzał i pomyślał o swoim życiu, zarówno przeszłym, jak też przyszłym, a potem powinien dojść do jakiegoś wniosku.

Stary lis dobrze wiedział, co należało zrobić, żeby osiągnąć swój cel. Banknoty pachniały zachęcająco, a kiedy wzięło się do ręki cały plik, miał on swój zdecydowanie przyjemny ciężar. Wagner przyglądał się im, owszem, żadnych wydarzeń ze swojego życia jednak nie oceniał. Nie snuł też żadnych planów na przyszłość.

Powiedział w końcu to samo, że nie skorzysta z tego prezentu. Weźmie tyle, ile przedtem zapowiedział, dwanaście tysięcy za obrazy.

Chreptowicz, mimo zawodu, jaki Wagner musiał mu tym sprawić, specjalnie się tym nie przejął.

– Tak myślałem – wzruszył tylko ramionami. – Ale nadal będę uważał, że jeśli nie chcesz wykorzystać takiej okazji, to jest

to po prostu nierozsądne. Drugiej takiej miał nie będziesz. Los bywa złośliwy. Jeszcze się o tym nie przekonałeś?

– Zgadzam się. Każdy może nagle spaść na dno.

– Potraktuj to więc jako zabezpieczenie na czarną godzinę, nie musisz wydawać teraz.

Wagner milczał.

– Wiem, chodzi ci o to, że je ukradliśmy... to prawda, nie jest to tak uczciwy zarobek jak Maćka i Zbyszka z Bogdańca dajmy na to, którzy łupili bez skrupułów takich jak oni rycerzy, jeżeli pokonali ich w polu. Nikt tego powszechnego procederu nie kwestionował.

– My nie wezwaliśmy ich na ubite pole. Poza tym ja w ogóle nie jestem rycerzem.

– Ach, nie jesteś rycerzem... pan Vincent Tordoir też nim nie jest, nie da się ukryć. Dlatego nie walczymy mieczami, tylko naśladujemy jego metody. Reguły są dla nich i dla nas podobne. Z tą różnicą, że my ryzykujemy życiem, bo oni zabijają i są pewni, że my nie będziemy zabijać... twoim zdaniem lepiej być chłystkiem i liczyć na przykład na wygraną w toto-lotka, niż stanąć po prostu do walki lub porwać się na coś takiego?

– Ty lubisz wymyślać kwestie trudne do rozwiązania.

– Na łatwe każdy może znaleźć rozwiązanie... w takim razie weź je i daj na jakiś szlachetny twoim zdaniem cel.

– Ty też masz zamiar zabawić się w Robin Hooda?

– O, nie, ja nie będę się bawił w Robin Hooda. Na pewno nie. Wyliczyłem sobie niedawno, ile mi w życiu zabrali tacy jak Binder i jego mocodawcy.

– Ale nie dziwisz się, że nie chcę swojej połowy?

– Nie dziwię się, ciekaw jestem tylko, co byś zrobił, gdyby leżał tutaj nie milion, a miliard dolarów.

– Zastanawiałbym się pewnie tysiąc razy dłużej.

– A ja myślę, że raczej tysiąc razy krócej...

Chreptowicz podszedł do barku i po chwili na stoliku, przy stercie pieniędzy, postawił butelkę swojego ulubionego koniaku. Wagner dopiero teraz poczuł, że powoli opada z niego napięcie całego przedpołudnia. Podobnie było chyba z Chreptowiczem. Oba te występy nawet dla niego nie były kaszką z mlekiem.

– I jak ci spodobał pan Benedykt Krauss, vel Wilhelm von Tarsky, vel Tadeusz Ulbiniewicz?

– Czy ja wiem?... poza tym, że to prawdziwy drań, to jego odwaga mi się spodobała. W ogóle się nas nie przestraszył.

– Bez przesady. Też potrafię grać, widziałeś sam... chyba nie mamy już wątpliwości, że to on kazał zamordować Adamskiego. Coś mi się teraz zdaje, że zrobił to dlatego, że Adamski poznał w jakiś sposób jego prawdziwe nazwisko i

Ulbiniewicz uznał, że chciał go szantażować. Widziałeś jak zareagował, kiedy miałeś zrobić mu zdjęcie.

Ktoś zadzwonił na komórkę Chreptowicza. Od razu po powrocie do Wilanowa przesłał zdjęcia Tadeusza Ulbiniewicza dawnemu koledze z firmy. Miał on dowiedzieć się, kim on właściwie jest. Jego kolega powiedział, że wysłał e-maila z tym, co udało mu się na razie ustalić.

Otworzył swoją pocztę i mogli się z tym zapoznać.

Właściciel posiadłości w Konstancinie był obywatelem Stanów Zjednoczonych i nazywał się jak już wiedzieli Tadeusz Ulbiniewicz. Miał siedemdziesiąt dwa lata, a urodził się w Krakowie. W wieku lat jedenastu wyjechał z rodzicami do Francji. Tam studiował ekonomię i specjalizował się w finansach. Wyjechał potem do Stanów Zjednoczonych, gdzie zdobył posadę w niewielkim banku. Z czasem piął się coraz wyżej i został w końcu jednym z wiceprezesów dużego, międzynarodowego banku.

Wrócił do Polski w połowie lat dziewięćdziesiątych i zamieszkał w Konstancinie. Czym się wtedy zajmował nie było wiadomo. Od siedmiu lat otrzymuje regularne wypłaty z banku, w którym był wiceprezesem.

To było wszystko. Chreptowicz powiedział, że chociaż to mało, to jemu wystarczy.

– Do czego ci wystarczy?

– Do tego, żeby już wiedzieć, dla kogo pracowała jego agentura. Nie pracowała dla żadnego konkretnego wywiadu. Pracowała dla tego dużego banku. Powinienem się tego domyślić, kiedy ten Fijałkowski powiedział, że minister będzie zadowolony, że ustawa będzie kosztowała cztery miliardy dolarów, a nie złotych. Czyli trzeba będzie na tyle się zadłużyć w zagranicznym banku, a nie zebrać dodatkowo z podatków... krótko mówiąc, Tadeusz Ulbiniewicz liczył, lepiej powiedzieć jego mocodawcy, liczyli po prostu na zaciąganie kredytów przez Polskę w swoim banku. Wrócił, żeby zająć się, jak teraz widzimy, naganianiem temu bankowi na różne, perfidne, w tym także ideologiczne sposoby, tak poważnych klientów jak całe państwa. To co robił u nas Binder, czyli duszenie prywatnej przedsiębiorczości było jak wiemy jednym z celów jego działalności. Szkody, które wywołał w kraju tylko z tego powodu są ogromne. Prawdziwe bogactwo narodu bierze się wyłącznie z pracy milionów ludzi. Poza tym wiesz przecież, że kiedy tysiące małych przedsiębiorców zamiast płacić podatki traci z powodu działań ministerstwa lub urzędu skarbowego swoje firmy, idzie na bezrobocie i dostaje od państwa zasiłek, to staje się to podwójną, a nawet wielokrotną stratą dla budżetu. I o to bankierom chodzi, o to, żeby państwa miały i wielkie straty,

i zarazem wielkie wydatki, najlepiej ustawowe. Wtedy są zmuszone do zadłużania się w bankach... a teraz przeczytaj to. Znalazłem to w swojej skrzyni, kiedy przesuwalem wtedy graty w piwnicy. Podobnych wymowie fragmentów było w niej kilkanaście. Były spisane po niemiecku. Oryginał tego wysłałem do Centrum Badania Starych Dokumentów. Chcę wiedzieć, kiedy to napisano. Przetłumaczyłem ci oczywiście.

Pierwsza pożyczka, niczym ruchoma skała, zawisnie nad głowami władców, jednakowoż każdy przyjdzie znowu do bankierów, aby żebrać o kolejne, jako ci ten pies nędzny, głodny, a nienasycony. Trzeba podać tedy każdemu sekretnie, poprzez zaufanych ludzi, różnorakie cele, które dla naszej też sławy chętnie zechce uskuteczyć.

– To robi wrażenie, nie powiem – stwierdził Wagner. Mocna rzecz. A chyba jeszcze ciekawsze jest, kto to napisał.

– Jasne, ale podpisu pod żadnym nie było... tak że widzisz, zakusy bankierów na rządzenie światem pojawiały się od bardzo dawna.

– Przypomniało mi się właśnie, że pisał o tym Bolesław Prus w „Faraonie”.

– Bo być może już Fenicjanie zaczęli ten proceder, skoro mówi się, że to oni wynaleźli pieniądze. Ale największa potęgą

finansową w historii byli, pewnie nie uwierzysz, templariusze. W pewnym momencie dysponowali prawie połową europejskiego kapitału. Pożyczali wielu monarchom, prowadzili różne usługi bankierskie, pobierali podatki i ściągali długi. Bało się ich wielu władców i w końcu Filip IV Piękny, sam u nich mocno zadłużony i przerażony ich polityczną potęgą, bo mieli mnóstwo ludzi usadowionych na wszystkich europejskich dworach, doprowadził do spółki z papieżem Klemensem V do likwidacji zakonu na terytorium Francji.

– A co się stało z tym ich majątkiem? Przeczytałem gdzieś, że to oni znaleźli w czasach krucjat złoto króla Salomona.

– Tak niektórzy twierdzą... data likwidacji zakonu była trzymana w ścisłej tajemnicy, ale tuż przedtem ich majątek został wywieziony na statkach między innymi do Szkocji. Potem podobno jakaś jego część do Ameryki jeszcze przed Kolumbem, na co jakoby są dowody, i dzięki tym pieniądzom mogły powstać Stany Zjednoczone... długo zastanawiałem się, po co właściwie zakon templariuszy powstał. Doczytałem się w końcu, co pisał o nim niejaki Eliphas Levi. Ich celem nie było wcale słuzenie papiestwu. Miała się odbyć przy ich czynnym udziale wielka rewolucja, społeczna i polityczna, w marksistowskim tego słowa znaczeniu. Jej celem było zniszczenie instytucji papiestwa i monarchii jako takiej. Na ich

miejscu miał w odpowiednim momencie powstać jeden, szeroki rząd przedstawicieli ponadnarodowego kapitału.

– To by się zgadzało – powiedział Wagner po chwili. – Z tego fragmentu jasno wynika, że zdobywanie pieniędzy nie jest głównym celem tych, którzy to pisali. Te różnorakie cele na pewno mają służyć ich planom politycznym.

– Tak to należy chyba rozumieć... interesowałem się kiedyś wkładem międzynarodowej finansjery w bieg historii, ale musiałem przerwać te badania. Powiem ci na razie, że wszystko zaczyna się w drugiej połowie XVIII wieku. Zaczęły się wtedy rozwijać duże domy bankowe, zarówno we Francji, w Anglii jak i w Stanach Ameryki. Można śmiało przyjąć, że kapitał początkowy wielu z nich wziął się prawdopodobnie z odmrożenia majątku templariuszy, jaki został wywieziony z Francji... cały XIX wiek to już dynamiczny rozwój wielkich banków, przy czym cechą charakterystyczną było to, że należały one do stosunkowo niewielkiej ilości rodzin. Rodziny te, żeby skoncentrować jak najwięcej kapitału w rękach jak najmniejszej ilości ludzi i nie wzbogacać obcych, prowadziły praktykę zawierania małżeństw swoich członków między sobą. Miało to miejsce także później, w XX wieku. Mamy przykład nawet podwójnego takiego związku, kiedy to dwaj synowie z rodziny

Sachsów ożenili się w tym samym czasie z dwiema córkami z zaprzyjaźnionej rodziny Goldmanów.

– A co na to sami zainteresowani?

– Kiedy tobie by zagrozili, że w przeciwnym razie wydziedziczą ciebie z milionów, to byś się zgodził na małżeństwo z babą Jagą... rozwijał się także terytorialny zasięg działania poszczególnych rodzin. Pięciu synów Mayera Rothschilda miało poza samym Frankfurtem, główną siedzibą jego banku, także filie w Londynie, Paryżu, Wiedniu i w Neapolu. Rodziny te bogaciły w szybkim tempie się dzięki bardzo skomplikowanym operacjom finansowym, których zrozumienie dla przeciętnego człowieka było prawie niemożliwe. Operacje te przeprowadzane były rzecz jasna bez żadnych skrupułów etycznych i moralnych. Coraz większy wpływ finansjery na bieg różnych wydarzeń był możliwy także dzięki bliskim znajomościom z elitą polityczną krajów, w których banki prowadziły swoją działalność. Dobrym przykładem jest tutaj postać Nathana Rothschilda, który dzięki długom, jakie miała wobec jego rodziny monarchia brytyjska, po prostu się w niej prawie zadowił.

– Niezła strategia, trzeba to przyznać.

– Bardzo dużą rolę odgrywała też agentura bankierów, rozrastająca się w coraz większym tempie. Umożliwiała ona

często wykorzystanie szybkiego zdobywania informacji do wyprzedzania konkurentów i przeprowadzania coraz bardziej skutecznych operacji finansowych... w rezultacie, w wyniku działania wszystkich tych czynników, wpływy finansjery rosły systematycznie na całym świecie, zwłaszcza rodziny Rothschildów. Stali się stopniowo właścicielami Banku Anglii, a z uwagi na zakres swoich potajemnych i bezwzględnych operacji finansowych uważano ich za tych, którzy kierują losami dużej części świata. Mimo tego, że bardzo często posługiwali się podstawionymi ludźmi, było wiadomo, że finansowali inwestycje w Brazylii, na Kubie, w Indiach i Australii... a dzisiaj? Jak wykazało wieloletnie śledztwo brytyjskiego agenta z MI-6, Johna Colemana, dzisiejsze rodziny bankierskie są nie tylko właścicielami wielkich banków. Posiadają niezliczoną ilość nieruchomości, wielkie firmy ubezpieczeniowe, zbrojeniowe, chemiczne i naftowe. Są właścicielami wielkich przedsiębiorstw telekomunikacyjnych, rozrywkowych, wytwórni filmowych, stacji telewizyjnych i radiowych. Mają też w swoich rękach wielkonakładowe gazety i czasopisma, tak że zarządzają informacją na dużej części globu... na pewno o czymś zapomniałem, ale jeżeli będziesz chciał, to jeszcze o tym porozmawiamy.

